

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

WIERsze

INSTITUT

PARYŻ



LITERACKI

1962

WIERsze

BIBLIOTEKA " KULTURY "
Tom LXXV

IMPRIME EN FRANCE

Editeur : INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.)

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

WIERSE

*Moje życie podobne lustru,
w którym zły przegląda się los:
każde prawo i każdy ustrój
w całopalny mnie rzuca stos.*

„Do poezji”

INSTITUT

PARYŻ



LITERACKI

1962

NA ŚMIERĆ BRONIEWSKIEGO

*Chciał rządzić się tu po swojemu,
Stawiał się sztorcem do świata:
Historia — myślał — to demon.
Ale jemu nie do demonów,
To był cygan,
Brat-łata.*

*Historia — marzył — i przyszłość
I wolność i sprawiedliwość:
Ale miał krew sobiepana,
Do głowy mu biła, kipiała,
A w krwi kropelkę trucizny,
Tkliwość.*

*Kłócił się, procesował,
Cały kram był gotów pozmienić,
Wciąż krzyczał: „Polska — ale jaka”.
Szłagoński piniacz,
Romantyk, heros
Czy zabijaka?*

*Mniejsza z tym.
Od siwej czapki leguna
Wędrował po ojczystych aresztach
Aż do wybranej sowieckiej wolności,
Gdy sznurem wiodła więźniów po stepach
I kołem polarnym przeszła
Po kościach.*

*Zapił się.
Ale kto się nie zapił
Pod orenburski wiatr?
Pod ewangelię demonów?
Pod ciężką głowę
Którą tam kładł?*

*Długo wielbili go potem,
Zasypywali kwiatami i prezentami,
Zaszczytną zmorą.
Ale on — nie!
Jak pijany płotu
Trzymał się swego rebelianckiego honoru.*

*Zbliżała się ciemna, ostatnia noc,
Kwiaty odesłał na grób towarzysza
Który wyłamał,
Prezenty kazał dać koledze w więzieniu:
Jeszcze raz się zbuntował
W skołtowanym sumieniu.
Nie kłamał.*

*Ciemna, ostatnia noc,
Której nikt nie odegna:
Umarł mi ex-przyjaciół,
Zadziorny, niemądry, wrogi.
A jednak?*

*Przeszedł tu wszystko,
Ex-szatawiła i zawadiaka.
Dotarł do sedna.
Polska bez niego potoczy się dalej,
On wciąż będzie krzyczał:
Ale jaka?*

I to nas pojedna.

Kazimierz WIERZYŃSKI

O BRONIEWSKIM NA EMIGRACJI

Określeniem „Żydokomuna” szermowano u nas w latach trzydziestych hojnie i bez zbytnich skrupułów. Ale trzeba przyznać, że w odniesieniu do redakcji „Wiadomości Literackich” była w określeniu takim szczypta prawdy. Redaktor tygodnika był z pochodzenia Żydem. Komunę zaś reprezentował sekretarz redakcji — Broniewski. Tam też, na Złotej, stały współpracownik pisma od r. 1934, poznałem Broniewskiego. Znajomość ograniczała się do paru zdawkowych zdań, wymienianych w czasie moich wizyt w redakcji. Na dłuższe rozmowy Broniewski nie miał zresztą czasu. Nie dlatego, żeby go zajęcia redakcyjne specjalnie absorbowały. Ale w przerwach między przyjmowaniem interesantów, korektami i telefonami wystukiwał na maszynie przekłady powieści sowieckich. Przechwalał się, że przekładów tych nigdy już nie poprawia i że prosto z maszyny redakcyjnej idą one na drukarską. Obawiam się, iż w ten sposób przełożył też i „Martwe dusze”.

Gdzieś wkrótce po 10 września 1939 r. pomagałem p. Stefanii Zahorskiej w znalezieniu Broniewskiego w jednym z lwowskich hoteli. Był w mundurze, chciał się bić, czekał na przydział. W jakiś miesiąc później spotkałem go raz jeszcze na rynku lwowskim. Był wtedy dobrze wstawiony. Spytał się mnie, jak się „tu” czuję. Kiedy usłyszał, że źle, odpowiedział mi: „To niedobrze, trzeba się przestraszać, przestraszać, przestraszać”. I poszedł z tymi słowami.

On sam się nie przestroił. Krążył po Lwowie jego „Syn podbitego narodu”. Nie mogły mu się pomieścić ani w głowie, ani w sercu „taktyczne” względy, nie pozwalające na dawanie upustu antyhitlerowskim uczuciom. Komunista, który otarł się tylko o wię-

zienia w Polsce sanacyjnej, teraz wylądował na Zamarstynowie i przesiedział się w więzieniach sowieckich przeszło półtora roku. We lwowskim „Czerwonym Sztandarze” pojawił się artykuł, demaskujący go jako „szpiega” i polskiego oficera.

Tego oficera nie trzeba było zresztą w nim demaskować. Ze swojej wojaczki — lat spędzonych w Legionach i na wojnie 1920 r. — był dumny i nie krył się z tym. Ranga kapitańska, której się w r. 1920 mimo bardzo młodych lat dosłużył, świadczyła najoczywiściej, iż bił się dobrze. Tak samo w głębi duszy był dumny ze swego szlacheckiego pochodzenia. Jego pierwsza żona niczym nie potrafiła go tak wyprowadzić z równowagi, jak przyznaniem się w towarzystwie do tego, że jest córką akuszerki. Położnictwo, jak wiadomo, nie należało w Polsce do szlacheckich zawodów. Pamiętam też, jak w Jerozolimie z wyraźną satysfakcją opowiadał mi, iż dogadał się z Witoldem Grabowskim, ministrem sprawiedliwości w rządzie Składkowskiego, że są jakoś daleko skuzynowani. Indagował mnie też kiedyś na temat Marcina Broniewskiego, posła do Tatarów z końca XVI w. i arianina, który się ścięrał w druku ze Skargą na temat Unii. Czy Władysław wywodzi się od Marcina, czy nie, tego nie potrafiliśmy dojść, ale nie ulega wątpliwości, że ów arianin, a więc w owoczesnych kategoriach skrajny lewicowiec, i polemista świetnie władający piórem, nadawałby się na jego antenata jak ułaf.

Kiedy we wrześniu 1941 r. zjawiliśmy się z żoną w Ambasadzie R.P. w Moskwie, okazało się, iż kilka dni przedtem przybył tam świeżo wypuszczony z więzienia Broniewski. Szeroko opowiadano sobie w Ambasadzie o incydencie, który przybycie to upamiętnił. Ksawery Pruszyński dla uczczenia okazji wydobył z komody butelkę przywiezionego z Londynu Scotcha. Był to bodaj że pierwszy alkohol, jakiego Broniewski zakosztował po wypuszczeniu z więzienia. Nie wypito jeszcze pół butelki, kiedy upił się na dobre i zaczął wyprawiać brewerie. Toteż kiedy następnego dnia zjawił się u Pruszyńskiego, aby whisky dopić, ten odmówił. Rozczłony, zaczął szukać butelki na własną rękę, a kiedy nie udało mu się jej znaleźć w komodzie, począł zawartość szuflad, jednej po drugiej, wyrzucać na podłogę. Pruszyński całej tej scenie przyglądał się biernie, siedząc na łóżku. Nie mógł się ruszyć, bo siedział na butelce.

Potem przeżyliśmy kilka miesięcy razem w Kujbyszewie. Ambasada dysponowała tam dwoma niewielkimi domami, a urzędników i „rezydentów” miała dużo. Toteż było w niej tłoczno i spało się po kilka osób w jednym pokoju. Z Broniewskim dzielił

nocleg prof. Stanisław Kościółkowski, cichy, spokojny staruszek, każdemu schodzący z drogi. Broniewski w swym pokoju noclegowym zjawiał się późno, kiedy prof. Kościółkowski dawno już spał, i ponieważ był zazwyczaj nie ze wszystkim w trzeźwym stanie, robił swoją osobą dużo hałasu. Rozbudzony Kościółkowski nigdy nie powiedział mu słowa wymówki, ale patrzył na niego z wyrzutem. Chwyając ten wzrok, Broniewski zwykł był mówić na przeprosiny: „W d...cię całuję szanownego pana profesora”. Kościółkowski naciągał wtedy kołdrę i udawał, że śpi.

Miał w Kujbyszewie raczej nominalny przydział do attaszatu kulturalnego w redagowanej przez Pruszyńskiego „Polsce”. Nie brał za to pensji, dostawał tylko z Funduszu Kultury zasiłek, jako pisarz, w wysokości tysiąca rubli miesięcznie. Ponieważ pieniądze przeciekały mu przez palce i stale żył pożyczkami, uważał to za krzyżującą niesprawiedliwość. Poszedł nawet do Kota, dopominając się o stałą dodatkową płacę. Kot powiedział mu, iż dałoby się coś zrobić, gdyby więcej pisał. Bardzo go to zabolowało, odgrażał się, iż przewierszuje cały najbliższy numer „Polski” i z takim „poematem” zgłosi się raz jeszcze u ambasadora. Nie zrobił tego, ale poskarżył się wierszem. Zaczynał się on tak:

*Ambasada ma zasady,
Więc pracuję bez posady,
Tysiąc rubli Fundusz płaci,
Ani grosza dyplomaci.*

A kończył po kilkunastu jeszcze liniijkach żalów:

*Cisnę wszystko od A do Z
Z MSZetu w MS klozet.*

Kiedyś porozpisywał na szereg osób w Ambasadzie nagrobki, które rozlepił na ścianie w pokoju attachatu. Najostrzej obszedł się z pewnym księdzem, jezuitą, również „rezydentem” Ambasady, któremu po rygorach zakonnych i więziennych świeżo odzyskana wolność uderzyła do głowy:

*Nunquam satis aquae vitae,
Wazeliny nunquam satis,
Zmarł na d..., ale przytem
In odore sanctitatis.*

Dostało się tam i mnie:

*Wiktor Weintraub, bądźmy szczerzy,
W cichym grobie cicho leży,
Ale z grobu, tak jak przedtem,
O nas wszystkich mówi szeptem.*

Co miało znaczyć, iż niby donoszę Kotowi, co się dzieje w pokoju prasowym Ambasady.

Zrewanżowałem się, nalepiając pod tym nagrobkiem swój dwuwiersz o Broniewskim:

*Broniewskiego żywot ująć można po krótkce:
Radikalizował w poezji, konserwował się w wódce.*

Skończyło się na śmiechu.

W Kujbyszewie było wtedy trochę przywódców Związku Patriotów. W Grand Hotelu oglądać można było paradującą w mundurze sowieckiego pułkownika Wandę Wasilewską. Zjawiała się też wśród nich była żona Broniewskiego, Janina, z córką Anką, którą gorąco kochał i której śmierć potem w kraju tragicznie przeżył. Broniewski ze swoją byłą żoną spotykał się, ale ze Związkiem Patriotów nie miał nic wspólnego. Nie miał wtedy żadnych wątpliwości co do tego, gdzie przynależy. Kiedy poszedł do wojska, prosił w Ambasadzie, aby nie zapomniano o jego córce. Dziewczynka co tydzień zjawiała się potem w Ambasadzie po paczki z wiktuałami.

Jego decyzja pójścia do wojska była, wydawałoby się, normalna. Miał niewiele ponad czterdziestkę, cenił sobie swoją wojсковą przeszłość, chciał się bić, pociągała go atmosfera życia wojkowego. Ale coś tam wyszło niedobrze. Przy ewakuacji z Rosji protestował przeciwko dyskryminacjom przeciwko Żydom wśród ludności cywilnej. Doszło na tym tle do scysji, awantur. Kot, kiedy się o tym dowiedział, postanowił wyreklamować go do mającego wychodzić w Jerozolimie pod moją redakcją dwutygodnika „W Drodze”. Miał być tam redaktorem technicznym, łamać numer, do czego przygotowany był swoją pracą w „Wiadomościach Literackich”. I tak spotkaliśmy się znowu w Palestynie i przepracowaliśmy tam razem dwa lata, od wiosny 1943 do wiosny 1945 r. Nie była to dlań praca kłopotliwa. Pracował dwa dni przed wyjściem każdego numeru, w sumie przez cztery dni miesięcznie. I pracę swą lubił. W drukarni „Palestine Post”, gdzie drukowało się pismo, bez trudu udało się znaleźć zecerów, którzy potrafili skła-

dać polskie teksty. Atmosfera w drukarni była przyjazna, a on umiał się dogadywać z zecerami i maszynistami. Miał ambicję dobrej roboty, chciał, żeby numer był ładnie złamany, z pasją tępił błędy drukarskie. Z dobrej szkoły Grydzewskiego wyniósł jeszcze jedną, dla mnie bardzo cenną, zaletę. Oto zupełnie nie wtrącał mi się do pracy redakcyjnej. Na temat doboru materiału miałem z nim tylko jedną poważniejszą scysję pod koniec naszej wspólnej pracy. Poszło o jego przyjaciela i kompana pijatyk, płk. Gaładyka, który chciał w piśmie załatwić jakieś swoje osobiste porachunki.

Lubił tę pracę także i dlatego, że wypełniała mu coś z czasu. A wypełnić go było trudno. Czytał bardzo mało. Raz jeden jedyny mówił mi z entuzjazmem o nowym świeżo przeczytanym wierszu, o „Wierzbach w Alma Ata” Wata. Ulubionym jego poetą był Jesienin. Pięknie deklamował jego wiersze, zwłaszcza dwa z nich „Kabackaja Maskwa” i „Czarnyj czelawiek”. Miał do tych rozpaczliwie smutnych wierszy bardzo osobisty stosunek. Były to dla niego w znacznej mierze wiersze o nim samym.

Do ZSSR był głęboko rozczarowany. Komunizm jego był przede wszystkim wiarą w możliwość ustroju, w którym panowałby inny, lepszy, sprawiedliwszy stosunek do człowieka. Była to wiara równie szczerą, żywą, co nieskomplikowana intelektualnie. Jeśli Tuwim w swoim znanym wierszu o dyskusji ideologicznej z Broniewskim pisał:

*Indus — rozumiem. Trializacja —
Już mniej,*

to pisał właściwie w imieniu ich obu. W komunizmie Broniewskiego „trializacje” odgrywały znikomą rolę. Był ten jego komunizm przede wszystkim uczuciową reakcją na krzywdę. I wszelka sofistyka, która by krzywdę tę usprawiedliwiała, była mu organicznie obca. Znał on ZSSR jako turysta sprzed wojny. Ale, jak świadczą jego reportaże z podróży ogłoszone w „Wiadomościach Literackich”, wtedy widział w nim tylko to, co jego oczy, spragnione nowego, lepszego świata dostrzec chciały. Doświadczenie dziewiętnastu miesięcy w więzieniach wiarę tę zdruzgotało. Lubił powtarzać krótki wiersz rosyjski, który ułożył w więzieniu i który dobrze oddawał w swej gorzkiej rezygnacji ten nastrój rozczarowania:

*Czelawiek — eto zwuczit gordo,
Skazał pokojnyj Maksim,*

*A mież tiem tut kałotiat w mordu,
Gawaria czto ty sukin syn.
Czto że dielał' takiemu synu
Za rieszotkoj NKWD?
Tak pamolimsja my matierszczinoj
Patuskniełoj, ałoj zwiezdie*).*

Jak to nieraz już było z ludźmi, którzy żyli komunizmem przez długie lata, załamanie się wiary przyniosło za sobą pewną pustkę. Wiedział teraz, że to ustrój niehumaniczny. Miał tę wiedzę w szpiku kości. Ale nie czuł się na siłach podejmowania przewar- tościowań ideowych, dochodzenia do ładu z nowym sobą. Uciekał przed tymi trudnymi, bolesnymi sprawami. Nie chciał o nich my- śleć.

Nie pociągała go egzotyka, nowość i niezwykłość tego świata, w który go los rzucił. Świat ten działał nań tylko swoją ostro odczuwalną obcością. Świadomość tego, że oto on, Władysław Bro- niewski, dzięki jakiemuś absurdalnemu kapryswi losu znalazł się nagle „tam gdzie pieprz rośnie”, była dlań źródłem stałego, boles- nego zdziwienia. Nie miał do tego świata ciekawości.

Odnosiło się to równie dobrze do świata arabskiego, jak do żydowskiej Palestyny. Nie było w nim cienia instynktów antyse- mickich. Opowiadał mi kiedyś z okazji jakichś perypetyj miłosnych, że właściwie powinien by być antysemitą. Bo oto tak się złożyło że kilka razy jego rywalem, i to szczęśliwym rywalem, był Żyd. Ale cóż, dodawał, nie wychodzi. Lubił towarzystwo Żydów, ale tylko Żydów z Polski. Byli dla niego częścią Polski, jej krajobrazu. Cud kształtowania się na jego oczach z pustyni i historii żydowskiej siedziby narodowej jakoś zupełnie nie przemawiał do jego wyobraź- ni. Deklamował mi kiedyś gorzko-żartobliwy, ad hoc ułożony wiersz:

*Ziemia święta jest podwójnie święta,
Obiecana w obu testamentach,
W testamencie boskim i angielskim...*

Kończyło się to tak:

*) Autograf wiersza, z notatnika Józefa Czapskiego, reprodukuje- my na str. 22.

*Ile na tym skorzystali Żydzi,
Ja nie widzę, może Pan Bóg widzi.*

Raz po raz słyszało się o jego komplikacjach sercowych. Ponieważ bohaterki zmieniały się tu wcale często i w sumie, jak na okres dwuletni, było ich sporo, na pierwszy rzut oka robiło to wrażenie jakiegoś cynicznego stosunku do tych spraw. Zdawałaby się potwierdzać takie wrażenie jego wierszowana petycja do pań w Jerozolimie:

*Tyle jest pięknych pań w Jerozolimie,
W niejednej wulkan i dynamit drzemie.
Gdyby choć jedna miała tyle taktu,
Żeby zrzuciwszy z serca pychę próżną,
Chciała przystąpić, powiedzmy, do faktu,
Darząc mnie bardzo łaskawą jałmużną.
Lecz nie, opięte w cnót anielskich gorset,
Rzucają nędznych uśmiechów napiwki
I zamiast, właśnie zamiast, co najgorsze,
Każą mi chodzić na arabskie dziwki.*

A jednak wcale nie był w tych sprawach cynikiem. Pamiętam następujący epizod. Zjawił się w Jerozolimie pewien gość z Londynu. Na objazd Libanu przydzielono owemu gościowi wojskowego jeep'a z „pestką”, szoferką czy po prostu przewodniczką. Kiedy dziewczyna zameldowała się u niego, był on akurat w towarzystwie Broniewskiego. Otaksowawszy ją szybkim spojrzeniem, szepnął Władcowi, że mu się podoba i że się musi z nią przespać. Po czym, już z Libanu, przesłał mu kartkę, z której wynikało, że się naprawdę przespał. Broniewski był całą tą historią zgorszony i zgorzeniu swemu dawał mocny wyraz.

On sam angażował się zawsze na serio. Szukał jakiejś namiastki życia rodzinnego, ciepła. A że miłości te były takie nie trwałe, składało się na to sporo przyczyn. Przede wszystkim on sam nie był partnerem łatwym. A poza tym wpłatywał się na oślep, impetycznie i z pewnością nie zawsze na trzeźwo.

Bo pił dużo. I potrafił pić od samego rana. O swej drugiej żonie aktorce Marii Zarembińskiej, którą gorąco kochał i za którą mocno tęsknił, opowiadał ze łzami w oczach, że przynosiła mu rano do łóżka szklaneczkę wódki. Wspomnienie to zawsze szczególnie go rozrzewniało. Podziwiałem jego żelazne zdrowie, że mimo

takiego wieloletniego picia jednak się trzymał, nie chorował, mógł jakoś pracować, pisać.

Inna rzecz, że było z tym piciem mnóstwo różnego rodzaju kłopotów. Z tego też powodu był stale bez grosza. I to mimo, że zarabiał dobrze. Obok stałej pensji redakcyjnej, która sama przez się wystarczałaby na przyzwoite życie, otrzymywał honoraria za wiersze drukowane w periodykach, przede wszystkim w „W Drodze”, oraz za książki. A było tych książek sporo. W r. 1943 wyszedł nakładem „W Drodze” *Bagnet na broń*. Tomik był też przedrukowany w Londynie. W r. 1944 wyszedł, również nakładem „W Drodze” wybór jego wierszy za dwudziestolecie 1925-1944. Wyboru dokonał sam. Zamieścił w nim swoje najpopularniejsze rewolucyjne wiersze, takie jak „Elegię na śmierć Ludwika Waryńskiego”, „Księżyc z ulicy Pawiej”, „Zagłębie Dąbrowskie”. Wszystkie z wyjątkiem jednego — „Magnitogorska albo rozmowy z Janem”, bo w świetle tego, co sam przeżył i widział, „wielkie piece Magnitogorska” miały dlań wtedy już zupełnie inną wymowę liryczną. Wreszcie w r. 1945 ukazały się dwie jego książki: nakładem „W Drodze” wyszedł spory tom wierszy *Drzewo rozpaczające*, a w „Szkolnej Biblioteczce na Wschodzie”, wydawanej również w Jerozolimie pod redakcją Łukasza Kurdybachy, ukazały się w jego pięknym przekładzie *Bajki* Kornieja Czukowskiego. Dużo więc drukował, a honoraria autorskie były wówczas przyzwoite, jak to z reguły bywa w wydawnictwach, drukujących za pieniądze rządowe, a więc nie muszących się liczyć ze względami kalkulacji handlowej.

A jednak groszem nigdy nie śmierdział i stale skarżył się na niskie zarobki. Sprawy pieniężne zaciążyły też trochę w początkach na naszych stosunkach. W pierwszym miesiącu, młody, niedoświadczony redaktor, podpisywałem mu kwity na zaliczki, ile razy tylko o to poprosił. Kiedy jednak następnego pierwszego zjawił się rozżalony z pretensjami, że po potrąceniu zaliczek wypłacono mu wszystkiego dwa funty i że nikt przecież nie może od niego żądać, aby za dwa funty mógł przeżyć przez miesiąc, zrozumiałem, że mogę z nim dojść do ładu tylko pod warunkiem, iż nigdy więcej na zaliczki się nie zgodzę. I mimo kilku scysji w postanowieniu tym wytrwałem. Z pensji zaraz po pierwszym i tak nie wiele co mu zostawało, bo z miesiąca na miesiąc szła na spłacanie długów. Ale że był lubiany, więc stale miał je gdzie zaciągać. Miał też w sklepach kredyt.

Przed cynizmem i ugrzęźnięciem w rozpacz ratowała go twórczość poetycka i te rezerwy moralne, jakie znalazł w posta-

wie, którą najwłaściwiej chyba byłoby nazwać żołnierską. Jeśli by zebrać razem jego wiersze palestyńskie — około połowy tomiku *Bagnet na broń, Drzewo rozpaczające* i poemat *Bania z poezją* — to okazałoby się, że dwa lata spędzone w Palestynie były najpłodniejszym okresem poetyckim w jego życiu. Pisał łatwo, wiersz z reguły zjawiał się na papierze już w postaci ostatecznej, bez skreśleń. Kiedy był w dobrej formie, łatwo komponował ad hoc krótkie wiersze dla prywatnej towarzyskiej konsumpcji. Jeden z nich, który zapamiętałem, ma dla mnie dużo uroku i chciałbym go tu zachować od niepamięci:

*Aniołowie rozanieleni
Przechadzają się pośród zieleni.
Anielica, kompletnie goła,
Niedwuznacznie pyta anioła:
— Mój aniele, całkiem na biało,
Dusza, dobrze, no, ale ciało?
Anioł szybko machając skrzydłami
Uciekł. Gadał tu z aniołami!*

Popularność w owych latach zawdzięczał nade wszystkim swoim patriotyczno-politycznym wierszom. Ich treść intelektualna była ubożuchna. Od świata współczesnego i jego problemów gniewnie odwracał się tyłem, jak to zadeklarował w wierszu, którego często stochowskie rymy tak dobrze przystają do stylu myślowego tego, co wyrażał:

*A co mnie to tam obchodzi,
jak w Ameryce rodzi,
jaka w Anglii jest demokracja
i co Roosevelt je na kolację.*

Były o te polityczne wiersze kłopoty z wojenną cenzurą angielską. Mocny wiersz „Wszystko nam jedno” wrócił z cenzury z napisem „Please, stop”. Z „Przepisu na poezję” cenzor skreślił trzy strofy — ósmą do dziesiątej — oraz ze strofy trzeciej ostatnią linijkę „I siostra Anglia nawala...”, po czym, ponieważ żał mu się zrobiło okaleczonej strofy, zastąpił ją linijką swojego pomysłu „I serce się nasze użala”. I przybił stempel: „Passed as corrected”. Postanowiliśmy tak pokiereszowanego wiersza w ogóle nie drukować. Pojawia się on tu po raz pierwszy.

Wola walki, determinacja, tęsknota za krajem, poczucie zagubienia w obcej, egzotycznej rzeczywistości i poczucie, że w jakiś sposób nie jest to rzeczywistość naprawdę, że trzeba zacisnąwszy zęby ją przetrwać — oto co wyrażały te wiersze. Nade wszystko dominowała w nich nuta tęsknoty za Polską. Żeby raz jeszcze zacytować z tego samego wiersza „Mniejsza o to”:

*a potem — niech już Sikorski
o Polsce stanowi z Kotem...
Ja po prostu chcę wrócić do Polski,
mniejsza o to, co będzie potem.*

Czuł się w tych wierszach żołnierzem, rzecznikiem emigracyjnej masy żołnierskiej. I był nim. Wiersze te, właśnie dlatego że były takie komunikatywne, że *materia lirica* znajdowała w nich wyraz prosty, bezpośredni, obcy intelektualnym konstrukcjom — znajdowały odzew szeroki i żywy. Była to poezja w dobrym znaczeniu tego słowa popularna, dająca wyraz odczuciom dużej liczby emigracyjnych czytelników. Broniewski świadom był tego odzewu. Dawało mu to dobre poetyckie samopoczucie.

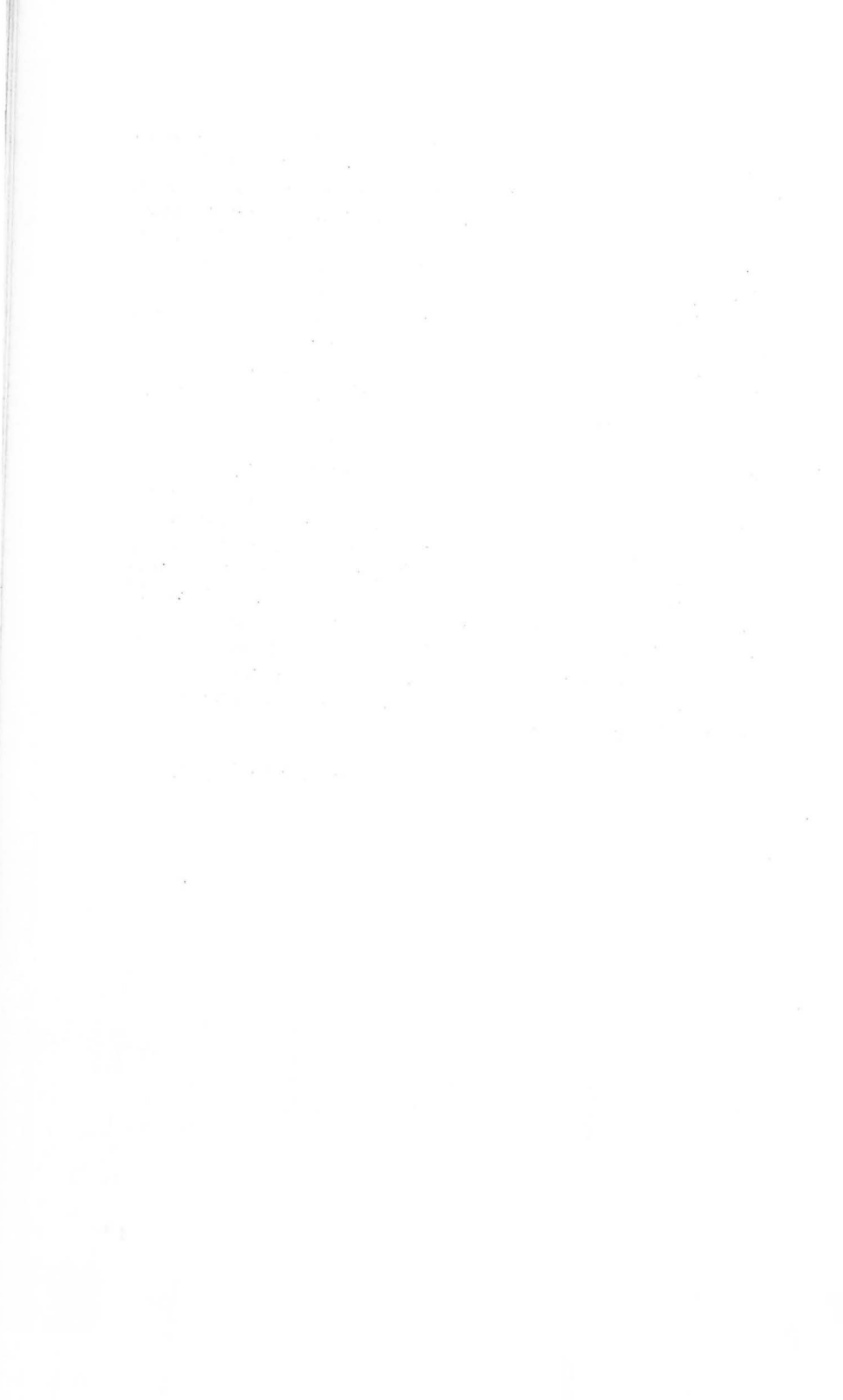
W takiej atmosferze powstał w lecie 1944 r. ambitny zamiar poematu epickiego o Wrześniu. Dla muzy Broniewskiego, wyczułonej na heroizm, żyjącej życiem zbiorowości, epika, zdawałoby się, będzie naturalną formą wyrazu. W drugim tomie jego wierszy, w *Dymach nad miastem* z 1926 r., znaleźć można „Pieśń o wojnie domowej”. Ale — rzecz znamienna — skończyło się tym razem tylko na lirycznej uwerturze, „wstępie do poematu”. Tylko tyle w każdym bądź razie przekazał do druku. Opiewając w trzy lata później Komunę paryską, wybrał formę cyklu dziewięciu wierszy lirycznych. Ale nazwał ten cykl „poematem”. Teraz zanosilo się naprawdę na poemat o szerokim oddechu, na „wielką formę”. Tytuł *Bania z poezją*, nawiązujący do wspaniałej eksplozji twórczości Mickiewicza, zuchwale podkreślał jeszcze śmiałość tego zamiaru poetyckiego. Poemat swą formą metryczną i luźną kompozycją, pozwalającą na swobodną grę lirycznych dygresji, należał do progenitury „Oniegina”. Skuzynowany był z „Kwiatami polskimi” (których sporo fragmentów znanych było z pierwodruków w „Wiadomościach Polskich” i w „Nowej Polsce” Słonimskiego). Różnił się od tamtych swoją zamaszystością, szorstkością, pewną brulionowością, żołnierską nutą. Miał być przecież, inaczej niż tamte poematy, epiką wojenną.

Część pierwsza, która lekko spłynęła z pióra w momencie podniecenia twórczego, pojawiła się w „W Drodze” z 16 lipca 1944 r. Na część drugą, drukowaną w numerze z 16 stycznia 1945 r., przyszło czekać pół roku. O przyczynie zwłoki mówią daty. Wymieniają ją też i pierwsze linijki tej części: Powstanie Warszawskie. I kiedy po przerwie wrócił do poematu, dawny rozpęd do niego już przepadł. Czuje się to wyraźnie w tym, co w części tej po jej pięknym wprowadzeniu lirycznym jest właściwą materią epicką. I temu też chyba przypisać należy, że w części tej tak bezceremonialnie uśmiercił swego bohatera, Stacha, któremu, sądząc po tym jak był w części pierwszej wprowadzany, można było wróżyć dłuższy i bogatszy żywot poetycki.

A potem przyszło inne nieszczęście, osobiste. Otrzymał list z Polski z informacją o śmierci w obozie niemieckim żony, Marii Zarembińskiej. Wiadomość — jak to później wyszło na jaw — była nieprawdziwa. Zarembińska przeżyła obóz i zmarła na gruźlicę już po wojnie i po połączeniu się z mężem w Polsce. List wprawił go w rozpacz. Zaczął teraz pić na umór. Teraz też, czego przedtem nigdy nie było, pijaństwa kończyły się z reguły atakami płaczu. Na całe dni znikał też z domu. Powstała w tym czasie garść wierszy, poświęconych rzekomo zmarłej, takich jak „Ręka umarłej”, „Ballada”, „Zona”. O kontynuacji poematu nie było już mowy.

W tym to właśnie czasie, w marcu 1945 r., pożegnałem się z nim wyjeżdżając do Londynu.

Wiktor WEINTRAUB



Władysław Borowiecki

17

x x x
Może nic w tem życiu nie będzie:
jeszcze rok, jeszcze dwa, jeszcze X ...
Moich myśli ciemne tabędzie.
odpływaj, Wistę na styg.

Ja wiedziałem w serce - grzyć mam,
jakim ciałem nakławić pierś.
Nie rachunkiem, nie syllogizmem
budowałem życie i wiec.

Ale troska, jak rda, męciarta
mojej pieśni serdeczny mbe,
tylko knyk ścisłego gartha
głucha ciemna, męczyła noc.

Już tym knykiem zostanę młodym:
jeśli gron - niakaj kafia mycie.
Temu światu ja się nie poddam,
temu światu ja krzyknę: nie!

"Человек — это звучит гордо!"
сказал покойный Максим,
а мне тем: плути колотили в порту,
говоря, что ты цыган сын.

Это же делаю такому сыну
за решеткой НКВД...
Так помнишь ли материнской
потухшей алой звездой.

даты 1940
Wronski

„Słowo człowiek — to dźwięczy dumnie!” —
powtarzamy za wielkim Maksymem.
A tu coraz ktoś w pysk cię zasunie
i powiada, że jesteś psim synem.

Cóż tu robić takim gagatkom
w czekistowskim mrocznym zajęździe?
Więc pomódlmy się, klnąc w waszą matkę,
wypłowiałej czerwonej gwieździe.

(Przekład J. Łobodowskiego)

KASZTAN

Za oknem stał kasztan, i pąki pęczniały,
choć śnieg na nich leżał puszysty i biały.
O świetle pochmurnym, o zmierzchu półsennym,
na lwowskiej ulicy pod murem więziennym
stał kasztan. Był marzec. Już śniegi topniały.

Jak często myślałem: nim wrócę do miasta,
już pewnie listowiem okryje się kasztan,
i pąki, sokami wezbrane, wystrzelą.
zabłysną, oślepią zielenią i bielą, —
bo wiosna tak samo jak wolność narasta.

O wiosno... Kto walcząc uchodził spod gromu,
kto dom swój postradał i drogę do domu,
ten nie wie, co począć ze swoją rozpaczą,
i łzami się dławi, bo oczy nie płaczą,
i milczy, — bo jakże to mówić i komu?

Więc kasztan, pieszczony codziennym spojrzeniem,
był świadkiem jedynym i stał pod więzieniem.
Ta przestrzeń niewielka od krat do gałęzi
trzymała i rozpacz i krzyk na uwięzi.
I była nadzieją. I była marzeniem.

Jak wolno mijały tygodnie, miesiące
wśród troski okrutnej, wśród nudy dręczącej,
bez wieści od bliskich, bez słów, bez otuchy, —

aż przeszły nareszcie marcowe poddmuchy
i złotem na kraty rzuciło się słońce!

Był więzień, co nie mógł spać nocą wiosenną,
na twardej podłodze spoczywał wraz ze mną
i zrywał się w nocy, do okna się skradał,
chwytając za kraty z gwiazdami coś gadał
milczeniem — tą mową serdeczną, tajemną.

A wiosna wdzierала się dalą błękitną
do oczu stęsknionych i moc nieuchwytną
sączyła w korzenie, gałęzie, pąkowie
kasztanu, — aż nocą majową przed nowiem
spełniło się dzieło — to kasztan rozkwitnął!

Więc więzień bezsenny usłyszał pękanie
tych kwiatów i zerwał się, półobłąkany,
do okna poskoczył, kratami zatargał,
rozbudził nas — (pianę miał białą na wargach) —
i krzyczał słowami ciężkimi jak kamień:

„Słuchajcie, to rwą się granaty nad Lwowem,
to huczą armaty, to krokiem miarowym
nadciga piechota, a dalej po bruku
to czołgi łoskoczą, poznaję po stukach,
i słyszę, jak dudnią ułańskie podkowy...

Po niebie eskadra drapieżnie już krąży...
Ja muszę dołączyć... Jak serce mi ciąży...
Tam na mnie czekają... tam wiosna... tam bitwa...”
I biel kasztanowa zuchwale rozkwitła
za kratą więzienną... I padł podchorąży.

Ja nigdzie nie czułem powiewów tak słodkich,
jak wtedy w więzieniu... Gdy piszę te zwrotki,
wspominam młodego żołnierza, i w ciszę
wiosenną wsłuchując się, raz jeszcze słyszę:
„Ujdi, zakliuczonnij, ujdi ot rieszotki!”

Zamarstynów, kwiecień 1940 — Jerozolima, kwiecień 1943.

LIST Z WIĘZIENIA

Córeczko miła, ja z więzienia
do ciebie piszę list.
Ponuro wieczór w noc się zmienia,
od dworca słyszać świst,

za oknem szare szmatki nieba
w żelaznej ramce krat
i wróble dziobią kruszki chleba,
nim dalej fruną w świat.

To nic, córeczko, nic, że ciężko
za ciosem spada cios:
ja jestem z tych, co zimne męstwo
ciskają w twardy los.

Ty nie wiesz, że tu czas upływa,
jak krew z otwartych żył...
Bądź zdrowa, miła, bądź szczęśliwa,
mnie musi starczyć sił,

bo dziś Pielgrzymów jam rówieśnik,
Wygnańców depczę ślad.
i muszę donieść ciężar pieśni
na tamten brzeg mych lat.

ROZMOWA Z HISTORIA

Mistrzynie życia, Historio,
zachciewa ci się psich figlów:
zza kraty podgląda Orion,
jak siedzimy razem na kiblu.

Opowiadasz mi stare kawały
i uśmieciasz się, na wpół drwiąca,
i tak kiblujemy pomału —
ty od wieków, ja od miesiąca.

O Nieśmiertelna, skądże
ta skłonność do paradoksów,
i powiedz mi — czy to mądrze
całemu światu krew popsuć?

Bo skoro na całym świecie,
jak nie wojna, to stan wojenny, —
Historio, powiedz mi przecie:
po diabła tu kiblujemy?

Rewolucyjny poeta
ma zgnić w tym mamrze sowieckim?!
Historio, przecież to nietakt,
ktoś z nas po prostu jest dzieckiem!

Więc wstydz się, sędziwa damo,
i wypuść z Zamarstynowa...
(Na kryminał zaraz za bramą
zasłużymy sobie od nowa).

DROGA

Ksaweremu Pruszyńskiemu

Droga wiodła z daleka, droga wiodła przez Narvik
do Warszawy, Lwowa i Wilna, do Wisły, Bugu i Narwi.

Wiadomo, że nie zginęła. Wiadomo: póki żyjemy.
Podchorąży, dowódco drużyny, uważaj na erkaemy,

pilnie szukaj kierunku, prowadź sprawnie a prosto...
Ja te norweskie wystrzały w celi słyszałem nad Moskwą,

chciałem porwać karabin, chciałem biec w tyralierce,
ale milczały maszynki, i tylko waliło serce.

Droga wiodła przez fiordy, droga wiodła przez śniegi,
przez Węgry i Bukowinę, przez Wogezy, Szkocję i Egipt,

wiodła przez tundrę i tajgę, przez stepy kirgiskie z Rosji,
na drodze, na drodze dalekiej w walce żołnierze wyrosli!

Podchorąży, dowódco drużyny — nie ma śmierci, jest:
[rozkaz.
Każda mogiła — to okop, każdy trup — to drogowskaz.

Pilnie szukaj kierunku: poprzez fiordy i śniegi,
droga wiedzie do Polski ze wszystkich na świecie Norwegii!

Nad tą drogą już leci pieśń moja mściwa i gniewna
na ziemię przez wroga zdeptaną, do Warszawy, Krakowa
[i Gniezna,

aż się od krwi niemieckiej Wisła czerwienią zabarwi,
aż się w zwycięstwie zagubi droga przez Moskwę i Narvik.

ZAMIEĆ

Może to z Kraju, od Wisły, od Tatr
ten mroźny podmuch tęsknoty,
gdy śniegiem sypie orenburski wiatr
nocą na polskie namioty?

Zadymka w polu. Próżno szuka wzrok
drogi wśród śnieżnej kurzawy.
Zamieć po stepie sunie poprzez mrok
widmem zburzonej Warszawy:

błyska w podmuchach Zygmuntowy miecz,
niebo nad Polską zagarnia,
w śnieżnej zamieci Pospolita Rzecz
i droga do niej, i armia,

śnieg ruinami zasypuje step,
na śniegu żarzą się zgliszcza, —
lecz Moc truchleje już i Ogień skrzepł,
ten co narody oczyszcza!

O, jakże smutno przez ten krwawy świat
iść cmentarzyskiem idej...
Wiatr w oczy wieje. Orenburski wiatr.
Szedłem. Iść będę. Idę.

TUŁACZA ARMIA

Tam na Uchcie, na Soświe
rośnie sosna przy sośnie,
drzewa piękne, masztowe wyrosły.
Myśmy ostrym toporem
rozprawiali się z borem
nie dla Polski: dla Rosji... dla Rosji...

Dobrywaliśmy węgiel
pod Polarnym aż kręgiem,
lub spławialiśmy las na Pieczorze,
i rzucała nas dola
na bezdroża, na pola,
w tundrę, tajgę, za góry, za morze...

Bieda była, oj bieda!
trzeba było się nie dać,
trzeba było być twardym, upartym,
poprzez łagry i tiurmy
jak na froncie do szturm,
iść z żołnierskim honorem i hartem.

Dziś w angielskiej kantynie,
przy dziewczynie i winie,
wspominamy, jak gdzieś na Ładodze
od tyfusu, malarii
tysiącamiśmy marli
i tysiące nas padły po drodze.

Dobrze jest, że nas nie ma
tam gdzie zima, Kołyma,
gdzie Workuty, Irkucki, Tobolski,
że przez Morze Kaspijskie
i przez piaski libijskie
wędrujemy prościutko do Polski.

Na granicy Arabii
dostaniemy karabin,
ładownice wypełnią naboje,
będą czołgi i działa,
i zwycięstwo, i chwała,
gdy z tułaczki ruszymy na boje.

CO MI TAM TROSKI

Byle by w garści karabin, taki co w boju nie chybi —
co mi tam śniegi Syberii, co mi tam piaski Libii!

Co mi tam tiurmy i łagry, głód, poniewierka, szkorbut —
radość żołnierską ładuję, jak chleb i naboje, do torby.

Na nic mi wszelkie nagrody, na nic mi wieńce sławy,
potrzebne mi mocne buty, żeby w nich dojść do Warszawy.

Chcę, żeby głośno dudnił po świętym warszawskim bruku
obcas łatany w Narviku, gwóźdź wyszczerbiony w Tobruku.

Wiele się łądów zdeptało, wiele się krajów obeszło,
a ziemia wciąż była polska pod każdą żołnierską podeszwą.

Co mi tam bogactw szukać, ja nie mam nic oprócz pieśni,
siedem niemieckich granatów mój dom rozwaliło we Wrześniu

Był koło domu ogródek, w nim trochę warzyw i kwiatów...
Ja chcę wygrzebać z tej ziemi siedem niemieckich granatów!

Chcę ucałować tę ziemię, którą ukochał dzieckiem,
a jeśli paść — to gdzieś w Kraju, na piachu, na mazowieckim.

Co mi tam troski, kolego! Idziemy przez kontynenty,
lecą nasze eskadry, płyną nasze okręty.

My pokażemy światu, że Polski jesteśmy warci,
byle by but był mocny, byle karabin w garści.

WSZYSTKO NAM JEDNO...

Wszystko nam jedno, żołnierzom,
gdy kulka przyleci od wroga,
ile nam ziemi odmierzą
gdzieś na rozstajnych drogach.

Wszystko nam jedno, żołnierzom,
rachunek nie musi być ścisły,
ile nam ziemi odmierzą
na wschód i na zachód od Wisły.

My sami — bo żołnierz uparty —
z bagnietem — a choćby i z nożem! —
dojdziemy do Wisły i Warty,
staniemy na Śląsku, nad morzem!

Rozmowa będzie króciutka
o Wilnie, Krzemieńcu i Lwowie.
Nie damy też Nowogródka,
Dlaczego? — niech Adam odpowie.

Nas biją — a my przeżyjemy,
ich siła — a my niepodlegli.
Idziemy, idziemy, idziemy,
żyjący, walczący, polegli!

Nie chcemy na Ural, Kołymę,
dosyć jeździliśmy w gości,

chcemy polską zaprosić zimę,
żeby polskie tuliła kości.

Kto nam wróg, temu ręka nasza
bagnetem serce przewierci.
Rozpacz nas nie przestrasza,
będziemy się bili do śmierci,
będziemy się bili po śmierci...

PRZEPIS NA POEZJĘ

Poeci piszą wiersze
i dziurę w brzuchu narodowi wiercą,
a naród chwyta pierwsze-lepsze,
jak kieliszek wódki przed śmiercią.

(Ostrzegam naród polski:
jeszcze daleko do Polski.
Bądźmy trzeźwi, uparci, na wszystko gotowi,
nie czekając, co Historia powie).

Chodzimy po świecie szerokim, —
szeroka, wygnańcza fala, —
a to wszystko wyłazi nam bokiem
i siostra Anglia nawala...

Więc cap! za wiersze,
Mickiewicz po pierwsze
z „Redutą Ordona”
(Ordon — to o nas).

„Na Termopilach bez złotego pasa,
bez czerwonego leży trup kontusza”...
Więc wyobraźnia hasa,
demokratyczne „hulaj-dusza”.

Jak w śmiertelną koszulę, w legendę
ubiera się każdy rodak:

z pepesowcem ludowiec i endek,
i z księdzem Kupściem ksiądz Robak.

Balladyny i Irydiony,
czekając na Polski przyjście,
jak Ojciec Zadżumionych
pętają się po Middle-East'cie.

Czas skończyć tę zabawę,
prozą przemawia Churchill,
a więc — kawę na ławę:
będziemy się bili do śmierci.

Obskubali nas, spustoszyli,
gnębili nas od stuleci, —
a my! będziemy się bili,
i my, i nasze dzieci.

Furda nam „kwestia granic”
z głosem obcych wyłącznym,
bo my zrobimy powstanie
w roku dwutysięcznym.

Ostre są ostrza bagnetów,
słuszne są wiersze poetów,
ale poezja największa
nie w wierszach, nie w rymach, nie w słowach,
tylko: świat swoim życiem upiększać
i dumnie dać się pochować.

HOMO SAPIENS

Wśród mrocznych miast, po mrocznych schronach,
jak stada wypędzanych szczurów,
gromady ludzi przerażonych
pełzają u strzaskanych murów;
bezdumni, ślepi i wylękli,
ruszają chyłkiem, znów przyklękli,
złowrogo patrzą w niebo, szepcą,
że głód, że śmierć, że — wszystko jedno,
i przeklinając ziemię biedną,
ruszają znów, po trupach depczą,
znikają mroczni i samotni...

Ja lecę ku nim, mściwy lotnik,
i świecąc reflektorem serca,
bombami słów złowieszczę zbrojny,
ciskam je w zaciemnienie wojny,
jak jeden z Czterech, co uśmierca.

A pierwszą bombę ciskam w Berlin!
Za zbrodnię wojny, za pancerny
raid przez Ojczyzny mojej piersi,
za drapieżniki pod Warszawą,
za rozwalony dom, za krwawą
kałużę świata, co mnie mierzi,
za pychę, podłość, mordy, gwałty,
za pohańbienie słowa: człowiek —

lecą me bomby w ich blackouty —
niechaj im sen spędzają z powiek.

A druga bomba — w grób Smoleński!
Niechaj rycerze zmartwychwstaną
i świecąc każdy piersi raną,
świadectwo dadzą krwi męczeńskiej,
tej krwi niewinnej, z ręki kata
przelanej w obcą ziemię czerstwą,
ze zgrozą, lecz milczeniem świata
za wolność, równość i braterstwo.

A trzecia bomba — w tych, co wierzą,
że dość jest rozdać broń żołnierzom
i poszczuć ludy, poszczuć armie, —
wtedy się więcej złota zgarnie,
by knuć nazajutrz nowe wojny,
by kuć już dzisiaj nowe pęta.
Biję w nich gniewny i spokojny.
Nie trzeba złota. Krew jest święta.

Zachowam jeszcze bombę jedną
na czas, gdy blaski wojny zbledną,
gdy bliski będzie już dzień kary
za Wielkie Zaciemnienie sumień,
gdy możni szukać będą miary
wolności ludów...

Gdy w ich tłumie
nie będzie Polski, — wtenczas, pieśni,
aż w serce ziemi bij! Twe bomby
niech jak Jerycha wrzasną trąby,
niech biją w ludzkość najboleśniej,
niech do otchłani sumień dotrą,
by na skrwawionej globu mapie
stanął do walki przeciw łotrom
dobry, spokojny — Homo Sapiens.

BANIA Z POEZJĄ

C z ę ś ć p i e r w s z a

Na Żoliborzu, blisko Wisły,
był dom z ogródkiem... Mówię: był,
bo już go nie ma. W miarę sił
chcę pisać kronikę, być ścisły,
więc rzecz się zacznie Pierwszym Września,
bo wtedy furkot samolotów
o szóstej (może jeszcze wcześniej?)
od Żoliborza po Mokotów
zwiastował wojnę. Był to czas,
gdy nie wiedziało wielu z nas,
że już się zbliża „Polski Wrzesień”,
„Die neue Ordnung”, „nasza własť”,
po prostu: była polska jesień
i zaszło to, co miało zajść.

Chcę pisać kronikę, być ścisły,
a w Jerozolimie wytrysły
gejzery słów, krynice wspomnień,
rodzinny dom powrócił do mnie,
obrazy, wonie, dźwięki, sny:
BANIA Z POEZJĄ! — taka śliczna,
że powieść będzie chaotyczna
i zdaje mi się, że się śni.

Wspominam Wisłę, ale Wisła
nagle mi zmienia się w Barwistan,
i płynę ogrodami róż,
a twarze bliskich anieleją,
zanim w marzeniu się rozwieją,
by nie powrócić nigdy już.
A potem inny obraz: dom,
a przed nim dąb parusetletni. —
Vogue la galère! Swoboda snom!
A potem — bliżej i konkretniej —
wspominam bomb kruszących świst
i w dwa miesiące później list
Joasi: „Wiesz? Granatów siedem
padło w mój pokój, w komin jeden,
więc dom się skończył. Do widzenia”.
A ja poszedłem do więzienia
i przez miesiące dziewiętnaście
uczyłem się, jak A B C,
by dzisiaj wiedzieć, czego chcę.
Więc, czytelniku miły, — naści!

W Warszawie wieczór był przydługi:
zaczynał kończyć się o drugiej,
a potem „Adria” (wola boska),
o piątej było się u Joska
na Gnojnej. Cap! za gęsią nogę.
Malarze, Zbyszek, Jaracz, Tuwim...
„Szklanica wody?... Już nie mogę.
Zresztą, wypijem i pomówim”.
Sierpniowe noce nad Warszawą...
Ach, moi mili, szkoda słów:
ja wiem coś o tym i mam prawo
przypomnieć, żebym tak był zdrów.
Więc: księżyc jest tu nieodzowny,
ten znawca wielkomiejskich scen,
który zamienia wieczór w sen
i chociaż milczy, jest wymowny.
Jak piękne w nocy są kasztany,
tłumiące lamp łukowych blask,
a zwłaszcza kiedyś zakochany
i gdy przez liście pierwszy brzask

leciutko muśnie twarz dziewczyny.
W Alejach szumią limuzyny...
Zapytasz, czy zmęczona? — „Troszkę”, —
i czujesz jeszcze wilgoć warg,
i pachnie Ujazdowski Park,
gdy wreszcie wsiadasz z nią w dorożkę.
Sierpniowe noce są króciutkie,
jak szczęście, no i rób co chcesz,
poeto: pij z księżycem wódkę
i kochaj się — powstanie wiersz.

Tego tak prędko nie wyczerpię
z koszalki marzeń. Nagli temat.
Do rzeczy: jest ostatni sierpień
i tu się zacznie mój poemat.
Na diabła ci historia sztuki,
mój Stasiu? (Oto mój bohater).
Ten młodzian dość już ma nauki
i chętnie rzekłby „nasermater”,
ale zachęca dobry tata
no i Krystyna (włosy blond),
jest zakochany, no i stąd
studiuje, ale na wariata:
przed rokiem robił magisterium,
nawalił — dziwny chłop z histerią,
na krótko ugrzązł w psychologii,
był w wojsku, na zawodach F I S,
jeśli go spytać, co chce robić,
powie: „Najchętniej nic a nic”.
Miał predylekcję do Nietzschego,
czytał Sorela, Marksa też,
lecz orzekł, że to do niczego,
kiedy napisał pierwszy wiersz,
i odtąd pisał, ale chował,
bo jeszcze nigdy nie drukował,
a nie był pewny siebie; znał
Apollinaire'a i Rimbaud'a
i tak jak oni pisać chciał,
lecz gdy napisał, mruczał: „Woda”...
Choć poetyckiej bliski schizmy,
najchętniej wszedłby do „Skamandra”,

ale zabłądził w różne „izmy”,
a stąd niepewność no i chandra.
Poza tym wdzięk miał nieodparty:
wiosłował, pływał, kochał narty,
popijał troszkę i grał w karty.
Krystynę poznał w Zakopanem
i odtąd wzrokiem zakochanym
powlóczył za nią, wierny paż,
ale z Krystyną rzecz niełatwa
i tu się właśnie sprawa gmatwa,
i tutaj nie miał szczęścia Staś.
Ona go wprowadzie bardzo lubi,
ale zajęta jest Andrzejem
i ani ziębi ją, ni grzeje,
że Stasia w taki sposób gubi.
Skończyła lat dwadzieścia parę.
niedługo skończy Akademię,
mówią, że umie rzucać czary
i że w niej jakiś diabeł drzemie.
Maluje z pasją i z talentem,
ze zmysłowością łączy umiar, —
i tego rozgryźć Staś nie umiał,
choć jasne, że nie wierzył w święte.

Sentymentalny był to wieczór:
niepokój w sercach, pełno przeczuć,
od wczoraj już mobilizacja,
gazowe maski, ruch i gwar, —
lecz miało to swoisty czar,
i przeciągnęła się kolacja.

U „Wróbla” wódka zawsze zimna,
a kuchnia do północy czynna.
Tu często zbiera się bohema
i goli czystą, zbywszy trosk.
Gospodarz serce ma jak воск,
choć wie, że bractwo forsy nie ma.
Wspaniałe flaczki są w bufecie,
ach! takich nie ma w całym świecie,
królestwo bym Judejskie dał,
żebym tu takie flaczki miał,

i serce kraje się poecie...
A śledź w śmietanie!... Lecz do rzeczy,
nikt serca śledziem nie uleczy.

Przy stole było osób osiem:
malarze, muzy, literaci,
nie dał się także długo prosić
pewien mecenas (ten co płaci).
Taki co płaci zwykle jest
poezji znawcą lub malarstwa,
lubi postawić się, ma gest...
Ja lubię snobizm, tak, bez łgarstwa.
Więc od kieliszka do butelki,
potem: „Tak samo jeszcze raz”,
i w oczach zaczął płonąć „gaz”,
i „precz, precz od nas smutek wszelki”.
Myślicie, że był wzniosły ton.
coś o teoriach, o fakturze?
O, nie! „Inteligencja won,
bo chcę wygadać się o bzdurze”,
jak mówił wlany w pestkę facet,
nim zwałił się pod stół. Hic iacet...

Krystyna tylko coś nieswoja,
a Staś pod stołem łamie palce.
W ten wieczór, pełen niepokoju,
natrętnie włożą głupie walce,
a czegoś brak, a czegoś lęk,
i razi uszy każdy dźwięk,
i na coś czeka się, i jeszcze
saksofon zaczął wyć w orkiestrze,
i denerwuje vis-à-vis...

Krystyna nagle spojrzy w drzwi
i jakże jej zabłysną oczy,
i jakże ślicznie je przymruży,
i jak się zerwie i poskoczy!
To Andrzej przyszedł, już w mundurze.

„Ja na pięć minut. Auto czeka.
Kochanie, wojna niedaleka.

Przed świtem: Modlin, Raciąż, Sierpc...
Więc krótko: kocham, nie zapomnę.
jeśli chcesz cierpieć, no to cierp...
I jeszcze prośba, bardzo skromna:
żonie wytłumacz — to silniejsze
niż ja, o formalności mniejsza.
Czy umiesz czekać parę lat?
A jeśli ciebie nie zobaczę,
wiedz: na mnie się nie kończy świat,
bądź silna, umiej żyć inaczej.
Cóż jeszcze?... Kelner, dwie z angielską.
Ucałuj Stasia, pozdrów Bielską.
Cóż jeszcze?... Psiakrew, zapomniałem...
A! — róże. Widzisz: połamałem...
Bądź zdrowa... Trzymaj się... Bez łez...
Bądź zdrowa i nie zapominaj..."
Trzaśnięcie drzwi, rozmowy kres,
i rozplakała się Krystyna.

Wracali późno Żoliborzem.
Noc piękna. Księżycowa Wisła.
„Bez łez, Krystyno!” Lecz nie może
od łez powstrzymać jej Stanisław.
Więc żal rozstania, jak przez słomkę
mazagran, pili jasną nocą,
co chwila jakiś wóz, turkocząc,
kierował myśli na rozłakę.
Wtuleni w starych topól cień,
siedzą milczący, obcy prawie.
A wtedy z Pragi ku Warszawie
doniosły zaczął pełznąć dzień.

„Krystono, ja ci nie mówiłem,
bo dosyć zmartwień masz na dziś,
ale za chwilę muszę iść
do koszar... Wczoraj się stawiałem
do R.K.U. i mam już przydział,
więc — „sakum pak i mantelzak”,
nie będzie nikt się za mnie wstydził...
A zresztą — niech to trafi szlag,
bo — widzisz — ja nie lubię wojny,

leniwy jestem i spokojny,
no, ale trzeba... Wiesz, ta noc
oddala ciebie, ale zbliża:
nareszcie zdjęty będę z krzyża
twojej obecności; czuję moc
odejścia, przed tym zaś, wiesz sama,
już próbowałem siebie łamać,
ale nie wyszło. Andrzej — cóż? —
to mocarz, ja zaś raczej pętał,
charakter słaby, no i już...
A więc bądź zdrowa... i pamiętaj..."

Krystyna... Czemuż jej do głosu
dopuścić nie chce jej wierszopis?
Może z powodu jasnych włosów,
dla których warto się utopić
we łzach, lub zgoła w zimnej wodzie?...
Pięknie, że umie rzucać czary,
ale, właściwie, co mi szkodzi
przydać jej z wojną innej miary?
Wkrótce nie będziesz mdła i miękka
i śmierci spojrzysz w twarz, Krystyno,
i trzymać będziesz w mocnych rękach
rewolwer, albo szkło z benzyną,
nim pójdziesz na tysiące dróg,
gdy się rozwinie powieść krwawa,
gdy w ogniu będzie stać Warszawa
i świętym stanie się jej bruk.

Batalion strzelców ze sztandarem
wrześniowym rankiem szedł na front,
ulice były jeszcze szare
i puste, błyszczał okien rząd,
tramwaje wyjeżdżały z przecznic,
stawały, wobec ruchu wojska,
batalion maszerował śpiesznie,
bo to już była wojna polska.
Szli z marszem w twarzach, młodzi, dzielni.
Wiadomo: strzelać będą celnie,
wiadomo: będą szli do śmierci,

póki im kula nie przewierci
młodzieńczych, lwich, gorących piersi...

Piechoto, ty królowo broni,
rozstrzygać masz batalii los...
Wśród klęski ty zabierasz głos,
kiedy o bagnet bagnet dzwoni,
gdy już nie chodzi o zwycięstwo,
lecz o to, żeby zimne męstwo
przez krew tworzyło żywy mit,
że „Jeszcze Polska nie zginęła”,
że naród walczy o swój byt,
a walka, gdy się raz zaczęła,
to w nocy klęsk zwycięstwa świt.
Piechoto... Dudni krok miarowy,
bagnetów ostrza w słońcu lśnią.
Na polach walk strzeleckie rowy
już jutro zlejesz świeżą krwią
i przyjdzie moc nieprzyjacielska.
przypełzną jej stalowe cielska,
żeby cię miażdżyć, łamać, kłaść. —
piechoto, będziesz stać do końca
i w chwale wrześnieowego słońca
będziesz umiała dumnie paść...

Szli Nowym Światem i Krakowskim
o Pospolitą walczyć Rzec,
z daleka książę Poniatowski
nad szeregami wznosił miecz,
potem minęli śpiż Pielgrzyma,
Kolumnę, Zamek, wiadukt, most
i maszerując wciąż na wprost,
zniknęli z oczu, już ich nie ma...

Na Pradze „odtrąbiono” dali,
„dowolny krok” i „wolno palić”.
Już „Messerschmidty” w niebie krążą,
już grzmiać pe-loty, śmigła furczą.
Z powagą idzie w pierwszej czwórce
Stanisław, sierżant-podchorąży.

Zapalił „egipskiego”, myśli
o Zamku, moście i o Wiśle,
o tym, że ojciec będzie sam,
że „te tam studia...”, że Krystyna...
Wkrótce o wszystkim zapomina
i, broń ściskając, myśli: „Tam!...”

C z ę ś ć d r u g a

Pół roku próżnowała „Bania
z poezją”. Czemu? Od Powstania
w Warszawie — źle poetą być,
i wolę grzęznąć w ciężkie smutki
(na rym czytelnik czeka: wódki, —
nie prawda: wolę nie chcieć żyć).
I choć, tak nie chcę, choć tak wolę,
zalewam rozpacz alkoholem,
a potem w nocy nagle — w płacz,
w potem we dnie — pusty dzień:
nie ma Kolumny, jest jej Cień,
i w karty gram, przegrany gracz,
i myślę: siostra, myślę: Maria,
i myślę: jakby tu, psiakrew?...
Wokoło mruczą: pijak, wariat...
Nie! We mnie krzywda, we mnie gniew!

Warszawo, żywa nad ruiną,
ciebie nie zmoęła przemoc carska,
Warszawo krwi, Warszawo czynu,
Warszawo groźna, robociarska,
Warszawo gniewna aż do gruntu,
Warszawo krwi, Warszawo buntu,
Warszawo zawsze niepodległa,
gdzie każda twoja krwawa cegła —
to strzał, a każdy dom — to grom;
ja tam straciłem bliskich, dom,
tam miłość moja w gruzach legła, —

i gdy żołdactwo wraże, tępe,
twe dumne burzy barykady,
gdy mój przyjaciel Zygmunt Hempel,
na bruk twój złożył pierś Hellady,
ja...

czytam P.A.T.-a, gryząc pięście,
i chciałbym zdążyć, żeby lec
i żeby jeszcze mieć to szczęście:
grób bezimienny, dumną śmierć.

Więc cóż? Na wieżę lmki wleźć
i głową w dół?! Lub przestać jeść?
Bo ja się nie dam w cudze karby
ująć za cenę złotych gór
i zdechnę, a nie zmienię farby.
(Ach, Aragonie, c'est l'amour).
„L'amour”, „liubow”, „die Liebe”, „miłość”, —
jakiż jest sens tych pięknych słów?
Czy znaczą tylko to, że miło
w kochane oczy spojrzeć znów?
Czy kochać tak, jak chce Ariosto,
czy też z ironią, byronicznie?
Miłość znaczenia ma rozliczne,
bez definicji, więc po prostu
powiadam: wszędzie tam, gdzie krew,
gdzie ból, gdzie zrywy całopalne,
Gustawa ból, Konrada gniew,
gdzie Fatum dzieje co fatalne, —
tam Miłość...

Dla mnie jednak śpiew,
nie ten tenorem, barytonem,
lecz sercem w sobie zachwyconym,
głoszący wiekom: warto żyć! —
to Miłość — zaprzeczenie Śmierci,
istnienia sens i prawd trzy ćwierci,
na śmierć się o nią trzeba bić.
Wszędzie, gdzie człowiek się borykał
na śmierć, tam Pieśń, tam Miłość wiodła,
u stóp szafotu wśród barykad,
a nie w pokorze i nie w modłach.
Bo Miłość nie chce znać wyrzeczeń.

ona nie zniża, lecz wydzwiga,
w c i e l e n i a chce, a co jej przeczy,
to Śmierć, przed którą Byt się wzdryga.
Kochajmy się! Swobodni, śmiali,
jak ptaka lot, lub jak ten wiersz,
a cośmy sercu obiecali,
tym ciało niech się żywi też.
Innego życia być nie może,
więc żyjmy, ale tak jak orzeł!

(Ach! Aragonie! Z tobą Elza.
a dla mnie dzisiaj cóż, jak nie iza?...)

Więc śmiejemy się, bo śmiech i żart
to bohaterstwa elementy,
bez tego łąałbym jak najęty,
Więc śmiejemy się... Eheu! Przez łyzy...
W Warszawie mostów było trzy...
W Warszawie kiedyś kwitły bzy...
We Włoszech są dywizje: Trzecia
i Piąta; chwałą nas w Holandii...
Tak to przez c o u n t r i e s i przez L a n d' y
idziemy sobie przez stulecia.

Porucznik Andrzej Waligóra
ponury jak gradowa chmura,
nie szczędząc trudu i motoru,
na Modlin walił i na Toruń.
Po drodze noc cholernie jasna,
jakieś tabory, wojska, ruch...
„Warto by kropnąć się i zasnąć,
cóż kiedy orać mam za dwóch”.
Zaczęło świtać koło Lipna,
poranek taki — samoswój,
a gdzieś daleko słychać bój,
że nawet te skowronki cichną.
W Toruniu sprąło Chevroletę
odłamkiem bomby. „Gdzie dowództwo?
Kaliszak, napraw to paskudztwo,
a ja do sztabu. Daj lornetę

i staraj się: niech „wtrymiga”
ten motor znów mi pięknie gra”.

Kapitan Krępeć mówi z cicha:
„No cóż, wiadomo co tu słyhać:
zrabali dworzec i lotnisko,
na całym froncie naprzód prą,
ścisk w niebie, no a bazy blisko,
czołgów do diabła, lepsza broń.
Ale jak dotąd front się trzyma,
jeszcze ich w Krzynowłodzy nie ma,
choć natarli na Szesnąstą;
jak mur tam trzeba będzie stać,
ale już wzięli Nowe Miasto
i pójdą dalej, psia ich mać.
Na razie rozpoznanie: Grudziądz
zabiorą, nawet się nie trudząc.
Grzmot atakuje. Słaba szansa:
Hughes przestał gadać od kwadransa.
Ja myślę, bracie: nas tu zetrą....
Linia oporu: Bydgoszcz — Mława,
właściwie: Modlin i Warszawa...
Masz do Bołtucia kilometrów
pięćdziesiąt. Daj papiery. Jedź!
A chcesz wesoły pogrzeb mieć.
kropnij jednego: husia — susia!
i dymaj prędko do Bołtucia”.

Kaliszak już naprawił motor,
zatrzasnął drzwiczki, czoło otarł:
„Ja z tych stron jezdę, ślepy Mazur,
nad Wisłę tu chodziłem z wędką...”
„Jedźże, pieronie, i to prędko!”
„Wedle rozkazu! Daję gazu!”

Szli Niemcy... Zewsząd Niemcy szli.
zaborczy, zbrojni, groźni, źli;
z Pomorza, Śląska, Wschodnich Prus
pancerny szedł za wozem wóz.
Szli Niemcy... Motor, gąsienica,
pancerna, dawna moc krzyżacka,

ze wszystkich naraz stron, znienacka, —
a my? — piechota i konnica...
Szli Niemcy... W imię czego szli
do naszych miast, do naszych wsi?
Szli Niemcy... Nieśli mord i butę
i świat się zatrzęsł pod ich butem,
i już nie było miast i wsi,
tylko czerwone morze krwi.
Szli Niemcy...

Stasio podchorąży
zapalił „egipskiego”: zdąży
czy nie, wypalić, nim się zacznie
natarcie? Wciągnął pierwszy dym,
wypuścił, no i razem z nim
zaczęło myśleć się opacznie:
„Krystyna? Przecież to — nie to,
takich jak ona znajdę sto,
a wojna? — toć to nie ostatnia,
Warszawę zwałą? — pal ich sześć,
a nietzscheańska życia treść
zaczyna cuchnąć, już się gmatwa,
i myślę: Schopenhauer srogi
miał pikielhaubę i ostrogi...
Tatus-bidulek... Trzy pokoje
na Wspólnej... Kichać w niepokoje...
Ja sobie żyję, sobie zdechnę,
a będę zdychał, to se westchnę...”

Tu wrzasnął gwizdek. Więc z bagnetem
poleciał naprzód przez buraki.
przez strumień przelazł, jak przez Letę,
przez parkan jakiś laźł okrakiem,
a wkoło kulki: fiu-fiu-fiu,
a każda mówi ci: „adiu”,
a Stasio wali naprzód szpurtem,
a tam sześć czołgów... — „Sanitariusz!...” —
To podporucznik. Żyje? Zmarł już? —
A kulki gwiżdżą. Z tego nurtu
wyłania się „M-4”, — czołg,
Więc Staś — granatem, i z hitlerem

i staraj się: niech „wtrymiga”
ten motor znów mi pięknie gra”.

Kapitan Krępeć mówi z cicha:
„No cóż, wiadomo co tu słysząc:
zrąbali dworzec i lotnisko,
na całym froncie naprzód prą,
ścisk w niebie, no a bazy blisko,
czołgów do diabła, lepsza broń.
Ale jak dotąd front się trzyma,
jeszcze ich w Krzynowłodzy nie ma,
choć natarli na Szesnąstą;
jak mur tam trzeba będzie stać,
ale już wzięli Nowe Miasto
i pójdą dalej, psia ich mać.
Na razie rozpoznanie: Grudziądz
zabiorą, nawet się nie trudząc.
Grzmot atakuje. Słaba szansa:
Hughes przestał gadać od kwadransa.
Ja myślę, bracie: nas tu zetrą....
Linia oporu: Bydgoszcz — Mława,
właściwie: Modlin i Warszawa...
Masz do Bołtucia kilometrów
pięćdziesiąt. Daj papiery. Jedź!
A chcesz wesoły pogrzeb mieć.
kropnij jednego: husia — siusia!
i dymaj prędko do Bołtucia”.

Kaliszak już naprawił motor,
zatrzasnął drzwiczki, czoło otarł:
„Ja z tych stron jezdę, ślepy Mazur,
nad Wisłę tu chodziłem z wędką...”
„Jedźże, pieronie, i to prędko!”
„Wedle rozkazu! Daję gazu!”

Szli Niemcy... Zewsząd Niemcy szli.
zaborczy, zbrojni, groźni, źli;
z Pomorza, Śląska, Wschodnich Prus
pancerny szedł za wozem wóz.
Szli Niemcy... Motor, gąsienica,
pancerna, dawna moc krzyżacka,

ze wszystkich naraz stron, znienacka, —
a my? — piechota i konnica...
Szli Niemcy... W imię czego szli
do naszych miast, do naszych wsi?
Szli Niemcy... Nieśli mord i butę
i świat się zatrząsł pod ich butem,
i już nie było miast i wsi,
tylko czerwone morze krwi.
Szli Niemcy...

Stasio podchorąży
zapalił „egipskiego”: zdąży
czy nie, wypalić, nim się zacznie
natarcie? Wciągnął pierwszy dym,
wypuścił, no i razem z nim
zaczęło myśleć się opacznie:
„Krystyna? Przecież to — nie to,
takich jak ona znajdzie sto,
a wojna? — toć to nie ostatnia,
Warszawę zwałą? — pal ich sześć,
a nietzscheańska życia treść
zaczyna cuchnąć, już się gmatwa,
i myślę: Schopenhauer srogi
miał pikielhaubę i ostrogi...
Tatusz-bidulek... Trzy pokoje
na Wspólnej... Kichać w niepokoje...
Ja sobie żyję, sobie zdechnę,
a będę zdychał, to se westchnę...”

Tu wrzasnął gwizdek. Więc z bagnetem
poleciał naprzód przez buraki.
przez strumień przelazł, jak przez Letę,
przez parkan jakiś laźł okrakiem,
a wkoło kulki: fiu-fiu-fiu,
a każda mówi ci: „adiu”,
a Stasio wali naprzód szpurtem,
a tam sześć czołgów... — „Sanitariusz!...” —
To podporucznik. Żyje? Zmarł już? —
A kulki gwiżdżą. Z tego nurtu
wyłania się „M-4”, — czołg,
Więc Staś — granatem, i z hitlerem

już kwita. Zniknął czołg. „Paszoł”.
Cóż dalej? Czołgi się cofają,
ale natarcie wciąż macają,
i Stasio nagle, czort wie jak,
upadł, przewrócił się na wznak,
i — „śpij, kolego, w ciemnym grobie,
niechaj się Polska przyśni tobie”.

SPIS TREŚCI

Kazimierz Wierzyński: Na śmierć Broniewskiego ..	7
Wiktor Weintraub: O Broniewskim na emigracji ..	9



Może nic w tym życiu nie będzie... ..	21
Czelawiek — eto zwuczył gordo... ..	22
Kasztan ..	23
List z więzienia ..	25
Rozmowa z Historią ..	26
Droga ..	27
Zamieć ..	28
Tułacza armia ..	29
Co mi tam troski ..	31
Wszystko nam jedno... ..	32
Przepis na poezję ..	34
Homo sapiens ..	36
Bania z poezją ..	39

OD WYDAWNICTWA

Fotografie wierszy „Może w tym życiu nie będzie...” i „Człowiek — eto zwuczit gordo...” pochodzą z notatnika Józefa Czapkiego.

Wiersze: „Tułacza armia” i „Homo sapiens” przedrukowane zostały z Antologii poezji Polskiej na Środkowym Wschodzie „Azja i Afryka”, opracowanej przez Jana Bielatowicza i wydanej w Bibliotece „Orla Białego” w Palestynie w r. 1944.

Wiersz „Wszystko nam jedno...” wydrukowany był w Nrze 41 „Dziennika Żołnierza A.P.W.” z dn. 1 listopada 1943 roku.

„Bania z Poezją” drukowana była w dwutygodniku „W Drodze” w dn. 16 lipca 1944 r. i 16 stycznia 1945 r.

Wiersz „Przepis na poezję” nadesłał nam Wiktor Weintraub.

Pozostałe wiersze pochodzą z tomiku „Bagnet na Broń” Poezje 1939-1943, wydanego przez Wydawnictwo „W Drodze” w Jerozolimie w czerwcu 1943. Z tegoż tomiku pochodzi wiersz „Do poezji”, z którego czterowiersz zacytowaliśmy na stronie tytułowej.

ACHÈVE D'IMPRIMER
LE 19 MARS 1962
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD,
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).

Dépôts légal : 1^{er} trim. 1962 .